

Jestem już za stary, żeby próbować to wszystko zrozumieć. Życie pośród absurdu nauczyło mnie obojętności i sztuki ignorowania tego wszystkiego w co nie chciało mi się zagłębiać. Ludzie wyznaczali sobie kanony, ustalali reguły, szukali przyczyn i rozwiązań. Tak naprawdę w moim życiu usłyszałem jedno stwierdzenie, które wzięłem sobie głęboko do swojego serca – gdy jedno się kończy, coś innego się zaczyna. Tego się trzymałem. Nie szukałem innych opcji ani wytłumaczeń. To pozwalało mi spać spokojnie.

Ostatnio wiele się mówiło o tym, że już nie ma ratunku i że jesteśmy straceni. Ludzka wyobraźnia i niezwykła zdolność do wyolbrzymiania zawsze mnie zadziwiała. Przeżyłem już tyle lat, a mentalność tłumu dalej się nie zmieniła, ba chyba nawet jeszcze bardziej zeszała na psy. Wszystko zawsze nabierało monstrualnych rozmiarów, przynosiło wielkie szkody i ból. Miałem dość tych bredni. Czułem się zmęczony psychicznie i fizycznie. Ułożyłem się wygodnie w swoim ciasnym łóżku. Sen... jedyne czego pragnąłem. Jestem egoistą – nie ma we mnie współczucia ani wyrozumiałości dla tych wszystkich obaw, paniki, przepowiedni czy prognoz. Niech się dzieje co chce. Zamknąłem oczy.

Poczułem się dziwnie. Uderzyła we mnie fala przenikliwego zimna. Nie znośmę czuć chłodu – uśmiercał moje kości i stawy. Wszystko dokoła zdawało się być zadziwiająco ciche, puste, jakby martwe. Ktoś nagle chwycił moją dłoń. Wzdrygnąłem się.

- On... Jak to możliwe by on? Przecież kilka lat temu on... – pomyślałem, patrząc w jego oczy.

- Chodź – powiedział obojętnym głosem, ściskając mocniej moją rękę.

Powłóczęc zdrewniałymi z zimna nogami, zdałem się na niego. Nic się nie zmienił. Te same ciemne blond włosy i te same lekko przygarbione plecy. Nie wnikałem jak to się stało, że się spotkaliśmy i jak mnie znalazł. Pozwoliłem temu małemu chłopcu tak po prostu się prowadzić. Dłonie drewniały mi z zimna, a kolana zginały się z coraz większym trudem.

- Świat zmierza ku końcowi – szepnął, nie zwalniając tempa.

Oczekiwał chyba mojego przytaknięcia. Jakikolwiek miał cel, wypowiadając te słowa, niczego nie udało mu się osiągnąć. Jakie pojęcie o końcu świata może mieć kilkunastoletnie dziecko? To nie był temat w którym on mógłby się bezkarnie babrać.

- Świat się kończy! – warknął zniecierpliwiony. – W ogóle słyszysz co ja do ciebie mówię? Kończy się – powtórzył.

Zatrzymałem się i wyrwałem swoją dłoń z jego uścisku. Spojrzałem na niego, starając się dać mu do zrozumienia, że bezsensownie testuje moją cierpliwość. Zobaczyłem, że w jego głębokich, czarnych oczach pojawił się niepokój.

- Świat się kończy – szepnął raz jeszcze.

- Kiedyś przecież musi do jasnej cholery – odpowiedziałem.

- Nie boisz się tego końca? – zapytał, pociągając nosem.

- Jakiego końca? No wytłumacz mi, chłopcze – mój głos złagodniał. – Końca czego? Co ma się według ciebie skończyć?

- Wszystko – odpowiedział z dziecinną naiwnością.

- Wszystko? – parsknąłem. – Wszystko to pojęcie bardzo względne, wiesz? Co ma się zatem skończyć? Radość czy może łzy? Beztroska czy kłopoty? Ludzkość czy tylko jej marzenia?

- Nie obchodzi cię to?

- Nie – odpowiedziałem suchym, zupełnie obojętnym głosem.

Chwył moją dłoń po raz kolejny. Tym razem jego uścisk był bardziej zdecydowany. Miał dużo siły jak na małego chłopca. Jego twarz nie wyrażała nic, ale w oczach żarzył się ogień.

- Chodź! – powiedział ostrym, nieprzyjemnym głosem.

Maszerował szybko przed siebie, bezlitośnie ciągnąc mnie za sobą. Raz po raz potykałem się, kiedy zdrętwiałe z zimna kolana nie wytrzymały narzuconego tempa. Jego dłoń zaciskała się na mojej niczym żelazny szpon.

- Chodź – powtórzył. – Szybciej.

Przywłókł mnie do wielkiego okna zasnutego ciężką kotarą.

- Patrz! – rozkazał. – Patrz i powiedz mi, że to cię nie obchodzi! – krzyknął, rozsuwając zasłony. – Patrz!

Uderzyła we mnie fala jasnego, kłującego w oczy światła.

- Patrz aż z twoich oczu popłyną łzy – powiedział, wypuszczając moją dłoń z objęć. – I powiedz mi, że cię to nie obchodzi i że to nie twoja sprawa. Patrz i nie waż się odwrócić wzroku. Patrz jak długo dasz radę i potem powiedz mi, że jednak nie kłamałem.

Moje serce skurczyło się od ogromu chaosu i bezładu jakie ujrzałem. Wstrzymałem oddech.

- Widzisz to wszystko? – zapytał.

- Zniszczenie... Tylko zniszczenie. Nie ma już nic – wyszeptałem.

- Patrz uważnie. Bardzo uważnie.

Bordowo – fioletowe, niemiłosiernie rażące w oczy słońce zdawało się przywalać swoim ciężarem cały nieboskłon. Zobaczyłem wielkie ptaki krążące pośród granatowych chmur. Nie, nie sępy. Były dużo, dużo większe, potężniejsze i zadziwiająco zwrotne. Wydawały z siebie piskliwe dźwięki, które wbijały się w moje uszu niczym garść grubych igieł.

- Ptaki...

- To nie są zwykłe ptaki – odpowiedział.

Popatrzyłem na niego, niewiele rozumiejąc z tego co powiedział. Dziecinny bełkot, gada bez ładu i składu – to była pierwsza myśl jaka przyszła mi do głowy.

- Na co one czekają? – zapytałem.

Parsknął jakby oburzony.

- Poczekaj. Same pokażą ci czego chcą. Patrz na to wszystko dokoła! I przestań w końcu udawać, że to nieprawda. Rozumiesz mnie?

Ledwie zauważalnie skinąłem głową. Objąłem wzrokiem wszystko co tylko mogłem. To miał być koniec, spodziewałem się ciemności, głębokiej czerni, a ujrzałem jedynie przerażającą pustkę. Ptaki krążyły na niebie niby spokojne, ale jednak przerażająco czujne. Nim zdążyłem bliżej przyjrzeć się ich małym, błyszczącym oczkom, nagle jeden z nich zawirował w powietrzu, zanurkował w dół niczym pocisk i pochwycił w swoje szpony coś co swoim kształtem przypominało kulejącego, ledwie dychające człowieka.

- Czy to był...? – zapytałem.

- Tak – urwał mi w pół słowa. – Kilka ludzkich istot wciąż chowa się w cieniu...

Ptaki znowu zaczęły wydawać z siebie piskliwe głosy. Wiły się w powietrzu jak szalone. Nie rozumiałem o co w tym wszystkim chodzi. Ich krzyki wierciły dziury w mojej głowie.

- Co to jest do cholery? – krzyknąłem zniecierpliwiony. – Powiesz mi? Czym są te dziwne stworzenia? Co w nich jest takiego specjalnego?

Nie odpowiedział. Ptaki podlatywały bliżej i bliżej okna. Łypały swoimi wielkimi oczami, przecinały powietrze uderzeniami swoich ogromnych skrzydeł i wciąż wrzeszczały. Było w nich coś niepokojącego, coś co wywoływało siatkę gęsiej skóry na moim ciele. Miałem wrażenie jakby sama ich obecność rozcinała mój umysł na małe kawałki. Zorientowałem się, że drzę. Ich piski wbijały się w moją psychikę i dudniły głuchym echem w mojej głowie. Miałem wrażenie, że tracę wizję. Ptaki podlatywały coraz bliżej i bliżej. Łomot ich skrzydeł zdawał się popychać mnie z prawej na lewą. I to narastające dudnienie w mojej głowie... Wchodziły w mój umysł i bawiły się nim na wszelkie sposoby. Nie rozumiałem co się ze mną dzieje. W moim ciele narastał ból i niepokój. Trząsałem się, myśląc, że mój mózg lada chwila eksploduje.

- Już nie mogę... - wyszeptałem łamiącym się głosem. – Te ptaki... Zabierz mnie stąd... Co one robią? Te ptaki...

- To nie są zwykłe ptaki – odpowiedział mi ze stoickim spokojem w głosie. – To są ludzkie winy i grzechy. Demony o wielkich skrzydłach i kamiennych, złych sercach.

Popatrzyłem na niego. Nie wiedziałem czy mówi prawdę. Zawsze lubił wymyślać niestworzone historie.

- Ludzkie zło i okrucieństwo zatruty ten świat. To jest brutalna i bezlitosna materializacja jadu, kłamstw, oszustw, tchórzostwa i bezmyślności całej ludzkości. Nie ma już ratunku... One zabiorą wszystko. Tylko popatrz – powiedział i wskazał palcem na stale powiększającą się chmarę ptaków.

Wielka, ciemna plama przysłoniła niebo. Te potwory ciemności sunęły niczym ogromna fala zniszczenia, zmiatając wszystko co napotkały na powierzchni. Ich piski wywoływały trzęsienie ziemi, a łomot skrzydeł zabójcze huragany. Wszystko drżało. Wszystko rozpadało się na małe kawałki. Nie wytrzymałem psychicznie.

- Już dosyć! – krzyknąłem ostatkiem sił.

- To jest właśnie koniec – szepnął. – Świat się kończy... Nie ma już ratunku.

Chciałem podejść i wymierzyć mu siarczysty policzek za to jak bardzo spokojnie mówił o tej tragedii jaka rozgrywała się przed moimi oczyma.

- Nie ma ratunku... - powtórzył. – To już jest koniec, ojciec...

Spojrzałem na jego okrytą spokojem twarz. Słyszałem łomotanie własnego serca.

Poczułem jak ktoś nagle gwałtownie i brutalnie szarpie mnie za ramię.

- Musimy iść! – usłyszałem męski, gruby głos. – Natychmiast!

Na powrót byłem w swoim łóżku. Pośpiesznie wstałem, krzywiąc się od mokrej od potu koszuli. To był jednak tylko sen. Odetchnąłem.

- Szybko! – nieznajomy mężczyzna pociągnął mnie za ramię. – Musimy iść!

- Co się stało? – zapytałem, zupełnie nie rozumiejąc o co chodzi.

- Musimy uciekać – powiedział przerażony. – Popatrz przez okno! Tylko szybko! Musimy iść! Pospiesz się!

Nie wierzyłem w sny ani w to, że kiedykolwiek mogą stać się rzeczywistością. Jestem przecież ignorantem. Tym razem jednak to co zobaczyłem sprawiło, że zmieniłem zdanie. Pospiesznie ubrałem buty. Coś się kończy, coś innego się zaczyna, tym razem jednak naprawdę się bałem.

Czarna chmara wielkich ptaków o skórzastych skrzydłach zbliżała się do nas w nieubłaganie szybkim tempie.